

Opowieści o Starym Mieście

Autor tekstu: **Mieczysław Lenckowski**

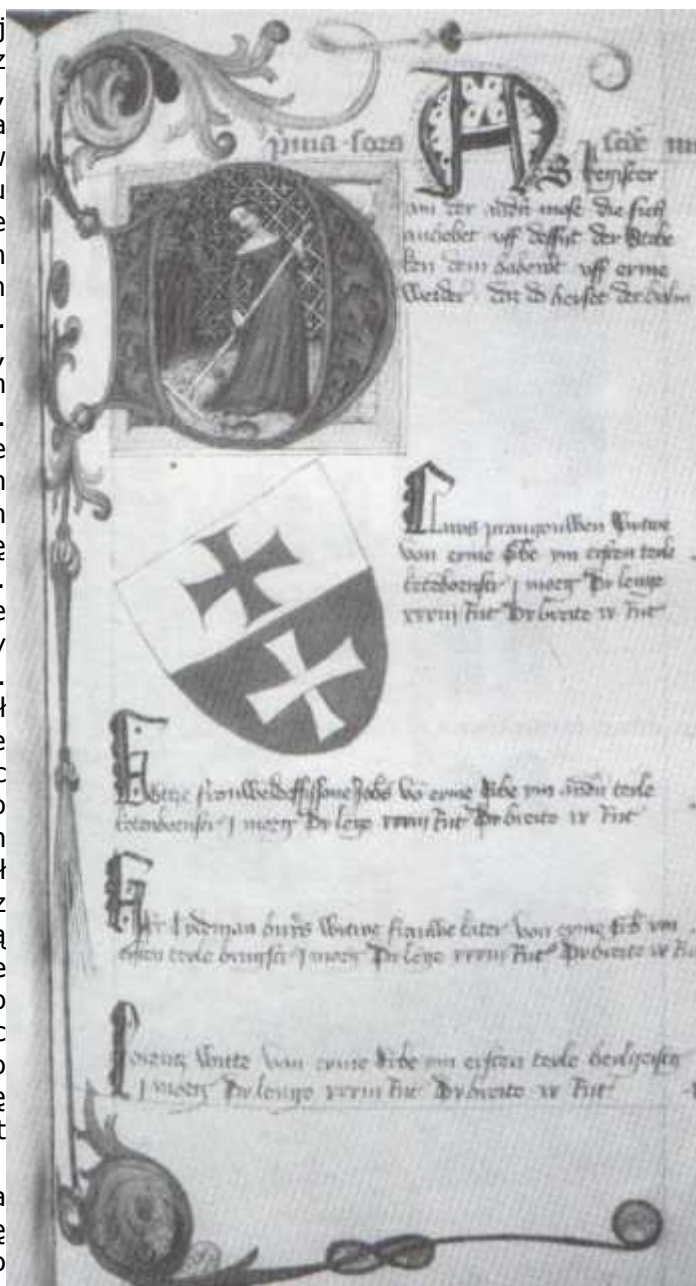
SPIS			TRĘSCI
I.	ŻYWOT	PROWIZORA	MELWICUSA
II.		DOMINIKANSKI	SZKAPLERZ
III.	CZARCIE	FIGLE	SWAWOLE
IV.		TAJEMNICZE	ANIOŁY
V.		Wagabunda	spitteler
VI.	KSIEGI	SIOSTRY	SCHOLASTYKI
VII.	RYCERSKI HONOR I ZABAWY		

*

I. ŻYWOT PROWIZORA MELWICUSA

Zaskrzypiały głośno drzwi od Małej Furty, gdy tuż po północy wchodził przez nie potajemnie podszpitalnik brat Melwicus, ze swojej wyprawy w okolice jeziora Drużno. Miał tam podobno czynić ugodę w sprawie zakupu 2 łanów łąki, ale wielu pensjonariuszy przytułku wiedziało że odwiedzał on w sprawach osobistych Dobrogosta we wsi Czechowo, z którym mieszkała jego urodziwa córka Gosława. Choć było ciemno niczymoko wykol, Melwicus sprytnie przemykał się wejściem od strony dziedzińca do Wielkiego Domu. Trzymał się blisko studni omijając ostrożnie zielnik, aby przypadkiem nie podeptać tam cennych ziół i nie pozostawić swoich śladów. Tuż obok refektarza, udało mu się chyłkiem dostać się do swojej sypialni. Mieściła się ona po zachodniej stronie szpitala, gdzie były jeszcze dwie duże izby dla jego najbliższych współpracowników. Jako członek elbląskiego konwentu miał szczególne przywileje, które umiał dobrze wykorzystać. Żył niczym księżę, czyniąc przy tym nieustanne starania o wybudowanie własnego domu, który potem nazwano Domem Szafarza. Teraz wszedł po cichu do swej izby, zamykając ją zaraz za sobą dużym zdobionym metalową ornamentacją kluczem. Odmówił jeszcze krótką modlitwę pamiętając jak zawsze o zbawieniu swej duszy i nie zapalając świecy, przebrał się wszlafmycę, położył do dużego drewnianego łoża pod pierzynę wypełnioną ptasimi piórami i natychmiast zasnął.

Dzień w Wielkim Domu dla prebendariuszy i ubogich rozpoczynał się latem oświcie około 4rano odgłosnego otwieraniafurty szpitalnej, a potem zapalania świec i przygotowań do wspólnej modlitwy w kościele przyszpitalnym. Wiadomo było wszem i wobec, iż zbawienie wieczne wiedzie przez miłość do Boga i bliźniego oraz udział w praktykach religijnych. Modlono się zatem przeważnie przed ołtarzem Najświętszej Marii Panny



Wniebowziętej na specjalnych klęcznikach sporządzonych w ławkach stojących na środku kościoła. Modlitwę w języku niemieckim prowadził sam Schaffner z Biblii pobożnie i z namaszczeniem wymawiając najpierw głośno Credo: *Wir glauben an den einen Gott, den Vater, den Allmächtigen, der alles geschaffen hat, Himmel und Erde...* [1] a potem przy pomocy modlitewnika litanie, aby wspólnie z pensjonariuszami na końcu odśpiewać jedną z nabożnych pieśni. Czasem w razie swojej nieobecności wyznaczał następcę do tych bogobojnych praktyk pośród braci albo sióstr zakonnych, zajmujących się w przytułku chorymi i ułomnymi. Przystępowanie do Komunii Świętej było obowiązkowe przynajmniej raz na tydzień, a jeśli któryś z mieszkańców szpitala nie chciał tego uczynić i opuszczał wspólne modlitwy, a nawet bluźnił Bogu, musiał opuścić przytułek.

Pewnego razu pocziwy Burchart Ramsey, który wraz ze swoją urodziwą żoną Dobrochną zamieszkał w przytułku dożywotnio za ofiarowanie swego domu i włości w Nowinie niedaleko miasta, pokłócił się z niejakim Henrykiem, prebendariuszem *apud s. Spiritum*, do którego należała karczma w Weklicach. Poszło o honor i dobre imię rodziny Ramseyów rodowodu angielskiego, oskarżonej przez owego gruboskórnego karczmarza o potajemne handlowe kontakty ze złotnikiem zamieszkującym kamienicę przy ul. Garbary. Jednakże nazbyt głośna utarczka słowna została szybko zażegnana przez jednego z czeladników złotniczych, który przysięgając na wszystkie znane mu świętości, błagał o zaniechanie owego sporu dla dobrego imienia zarówno owej rodziny, jak i jego pryncypała. Albowiem pochodził on ze słynnej i szanowanej w mieście rodziny Prullównie tykozaprzepiękne wyroby złotnicze, ale przede wszystkim za godne mieszczańskie życie. Choć jednak jeden z jego synów Johan, członek miejscowego Bractwa Kurkowego, skłonny był do nazbyt swobodnego żywota.

Kiedy komtur elbląski Fryderyk von Wildenberg otrzymał tytuł Wielkiego Szpitalnika *summus hospitalarius* [2], a Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego Karol z Trewiru przyznał funkcję szpitala *św. Ducha jakonoster et ordinis nostri capitalis domus hospitale*, zaczęły się zdarzać przedziwne, a nawet niezwykle, nadnaturalne wydarzenia i zjawiska. Przyjeżdżali do szpitala przeróżni, nierzadko egzotyczni goście, niemalże z całego świata.

Pewnego razu pojawił się u drzwi Wielkiego Domu wybitny alchemik, obieżyświat i skryba Efrem Mildhar. Opowiadał ciekawe wieści i historyjki, które opisywał w swoich rozprawach, przeważnie po łacinie. Miał on ciągle jakieś tajemne sprawy z samym *spitalerem*, do którego bezpośrednio zmierzał jakoby stary znajomy i przekazywał mu wydarzenia polityczne z całego świata. Zamykali się wtedy w komnacie długo o czymś rozprawiali, czasem wybuchając gromkim śmiechem, to znów okrzykami zachwyty lub grozy. Szafarz często powtarzał:

- Chroń mnie panie Boże od niestosownych zamiarów i poczynań wobec pensjonariuszy, ale są mi zasłużenie przypisani zdarzeniami swego losu i muszę im wyrobić właściwy sposób rozmyślenia o życiu.

- Ino dowiem się po cichu, jako to rozmyślają i co czują!

- Daj sobie spokój Efremie, rób jednakże co chcesz, ale na własną odpowiedzialność bez mojego udziału. A nie brakuje ci czasem szkocjów nate szalone eskapady i w drodze choćby trochę użycia przyjemności?

-Wiesz, Jaśnie Oświecony Melwicusie, jakże skromnym jestem człowiekiem i niewiele mi do życia potrzeba.

-Dobrze, drogi Efremie, ale ja i tak z daleka będę czuwał, aby opatrzność boska miała nad nimi i tobą także swoją pieczę.

Ciągle też przebywali u progu szpitala miejscowi żebracy, włóczędzy różnej maści i obiboki, błagając o jałmużnę i czyniąc zarządcy szpitala w zamian trudne często do odgadnięcia propozycje i uczynki. Aż siostry zakonne czasem czyniły znak krzyża, widząc takie poufałości i dziwne bratanie się z podejrzanymi typami z plebsu. Kiedyś jeden z pensjonariuszy szpitala, wywodzący się z elbląskich mieszczan, poskarżył się pewnej siostrze zakonnej:

- Oj ! Nie ma tu jasnej i pięknej miłości, tylko jakoweś knowania, których to nie rozumiem?

Było jednakże wiele dobrych i pięknych chwil w życiu mieszkańców przytułku, które miało przecie zmierzać do szczęśliwości i zbawienia, a często bywało zwykłą nędzą życia i utrapieniem.

W Wielkim Domu spali i mieszkali pensjonariusze z różnych gmin, rodów i rodzin. Często schorowani, musieli oddać swoje majątki i poddać się opiece i usłudze szpitala *św. Ducha*, nieraz ubodzy, porzuceni i sponiewierani przez życie, wymagali nie tylko opieki

przebywającego tam przez wiele godzin dziennie za opłatą konsyliarza, ale także leczenia duszy. Miała w tym pomagać surowa reguła szpitala i modlitwa trzy razy dziennie, a także przyjmowanie Komunii Świętej. Ale wielu pensjonariuszom to nie wystarczało, choćby Armadiuszowi Godzimirowi przyjętemu do przytułku wprost z ulicy, gdzie bez pomocy sióstr zakonnych na pewno by nie przeżył. Zauważyły go polegającego w zaułkach Starego Rynku, to znów w pobliżu rzeki przy łodziach rybackich, żebrzącego choćby o odrobinę stawy czy jakąś rybę, przywiezioną z połowów na Zalewie Wiślanym. Miał on w swoim życiu wiele niewiarygodnych wręcz przygód i zdarzeń. Brał udział w wyprawie krzyżowej do Palestyny, gdzie w walce z niewiernymi - Turkami i Arabami był wielokrotnie ciężko ranny i przebywał w szpitalu założonym tam przez joannitów i templariuszy. A po chwalebnym powrocie do Prus, został w drodze przez banitów i złoczyńców dotkliwie pobity, tak iż został kaleką do końca swego żywota.

W szpitalu mieszkała też matka z dwojgiem małych dzieci porzucona przez bogatego, ale niefrasobliwego męża, a w obawie o ich zdrowie wyślagała przyjęcie do przytułku. Przedtem jednakże sam Schaffer rozmawiał z małżonkiem, coś tam długo uzgadniali przekomarzając się niczym na targu o ulubiony i bardzo spragniony towar.

W Wielkim Domu w jednej z dziewięciu komór sypialnych zamieszkiwał także ślepy Jeromin Kemmers (komornik), który od dawien dawna parał się tym zawodem. Gdy przechodził pewnego razu na przez most z Wyspy Spichrzów wracając od swej ukochanej Izasławy, z którą mieli się pobrać, potknął się o jedną z nierównych desek i przewrócił tak niefortunnie uderzając w czoło iż stracił całkowicie wzrok i poruszać się już tylko mógł przy pomocy sękatego kija. Który jednak nie mógł mu zapewnić jadła ani żadnego napoju, choć sypiał jeszcze u swojej ubogiej rodziny kątem w jednej z kamienic przy ulicy Kowalskiej. Być może była to kara boża za jego nazbyt gorliwe wykonywanie zawodu, gdy za długi lub inne należności, z urzędu musiał zabierać różne dobra wielu często biednym rodzinom. Teraz pozostało mu już tylko rozpamiętywanie swych czynów i jako prebendariusz mógł liczyć na dobrą opiekę w przytułku oraz stateczny i spokojny żywot.

II. DOMINIKANSKI SZKAPLERZ

Co pewien czasu w szpitalu pojawiała się tajemnicza postać ubrana na czarno, w kapeluszu z wielkim rondem i w pelerynie przewieszanej przez lewe ramię. Odwiedzała ona zawsze mieszkańców Wielkiej Izby, szczególnie w jej części mieszkalno-sypialnej dla ubogich. Przynosiła z sobą jakieś podarunki, nie tylko do jedzenia, bowiem z ksiąg i pergaminów wyjmowanych pośpiesznie spod peleryny, wyczytywała różne wieści i tajemną wiedzę. Tak niesamowitą, iż ubodzy pensjonariusze słuchali tego co czytała i opowiadała z otwartymi gębami i wybałuszonymi ze zdziwienia, a może i zachwytu oczami. Nazywano ją imieniem Ksenia nie wiedzieć dlaczego, ale być może ze względu na jej dziką i tajemniczą urodę oraz niezwykle opowieści, którymi obdarzała schorowanych i często nieszczęśliwych mieszkańców przytułku.

- Przywiązanie do rzeczy doczesnych, posiadania majątku, grzywien i szkojców, strojnego odzienia i wygodnego życia, a nawet grzechu, prowadzi do zatwardziałości serca, obojętności wobec bliźnich, aż w końcu do osamotnienia i rozpacz. Odrzucenie własności, przepychu, a nawet zupełnie uzasadnionej wygody, czyni z nas ludzi wolnych i nastawionych na wnikliwe współczucie. Troska o to, aby docierać do każdego odrzuconego i sponiewieranego człowieka, staje się wtedy naszym obowiązkiem. Wszystkie środki jakie dał nam sam Bóg, mają służyć do równego podziału między ludźmi. Posłuszeństwo, ubóstwo i czystość oraz miłość Boga i Bliźniego sprawiają, że pojawia się Duch Święty i przenika w nasze ciało i duszę.

A potem zaczęła głośno i uroczyście czytać słowa napisane na przyniesionym przez nią jakimś

		tajemniczym			pergaminie:
<i>Uwielbiaj</i>	<i>duszo</i>	<i>moja</i>	<i>sławę</i>	<i>Pana</i>	<i>mego</i>
<i>Chwał</i>	<i>Boga</i>	<i>Stworzyciela</i>	<i>tak</i>	<i>bardzo</i>	<i>dobrego</i>
<i>Pokazał</i>	<i>on</i>	<i>świata</i>	<i>potęgę</i>	<i>swych</i>	<i>sił</i>
<i>Rozproszył</i>	<i>dumne</i>	<i>myśli</i>	<i>głów</i>	<i>pychę</i>	<i>nadętych</i>
<i>Wyniosłych</i>	<i>złożył</i>	<i>z</i>	<i>tronu,</i>	<i>znikczemnił</i>	<i>wielmożne</i>
<i>Wywyższył,</i>	<i>uwielmożnił</i>	<i>w</i>	<i>w</i>	<i>pokorę</i>	<i>zamożne</i>
<i>Głodnych</i>	<i>nasycił</i>	<i>hojnie</i>	<i>i</i>	<i>w</i>	<i>dobra</i>
<i>Bogaczów</i>	<i>z niczym</i>	<i>puścił</i>	<i>i</i>	<i>nędznie</i>	<i>rozproszył.</i>

Po tych słowach zapanowała radość i ogólny śmiech wśród ubogich, okrążyli oni ciasnym kręgiem tajemniczą postać w czerni, która zdawała się być ni to kobietą ni mężczyzną, ale na pewno była niezwykle uduchowiona i szlachetną postacią. Biła od niej jakaś nadludzka i anielska dobroć oraz umiłowanie świata i ludzi. Niektórzy wiedzieli iż miała szkaplerz dominikański, ale nigdy nie nosiła habitu, choć przecie posiadała duże umiejętności kaznodziejskie i potrzebę zbawienia wszystkich ludzi. Kiedyś przeczytała ciekawy fragment *Vitae Fratrum* o pięknych czynach napisanych dla braci zakonnych i wiernych, dla podniesienia ich na duchu oraz umocnienia w wierze i zachęcenia do spełniania dobrych uczynków. Były to dla ubogich pensjonariuszy zamieszkujących Wielką Izbę bardzo cenne i potrzebne wieści, bowiem często nie tylko ze względu na brak środków do życia, ale opuszczenie przez najbliższych, brak ciepła rodzinnego i miłości oraz celu w życiu, powodował u nich załamanie i bezradność. Opowiadała również w sposób bardzo wzruszający i niemalże natchniony, o wstąpieniu Rolanda do klasztoru św. Mikołaja w Bolonii. Jak to wbiegł on do kapitulacza, gdzie zakonnicy właśnie się zgromadzili, aby zatrzymać dwóch zniechęconych braci, którzy postanowili odejść. Roland upadł na ziemię i błagał o miłosierdzie zakonu i o jego habit, a wtedy jeden z braci Reginald założył mu własny szkaplerz. Kantor zaintonował *Veni Creator*, zabrzmiał dzwon, a jego łyzy ustąpiły miejsca radosnemu uniesieniu. Widząc to, zniechęceni bracia w wierze, postanowili pozostać w zakonie. Opowiadała również o codziennej modlitwie Rolanda i jego zdolnościach jako uczonego filozofa i groźnego adwersarza. Kiedyś bowiem podczas oblężenia Bressii przez Fryderyka II, cesarski filozof Teodoryk rzucił wyzwanie do dysputy dwóm młodym braciom dominikańskim, ale w dyskusji zostali pokonani i upokorzeni. Wtedy Roland, ze sparaliżowanymi już wówczas nogami, przyjechał na osiołku i pokonał filozofa.

Często też próbowała mówić o dominikańskiej metafizyce i cytować swojego ulubionego mistrza Eckharta, ale zainteresowanie tym tematem szczególnie wśród ubogich pensjonariuszy było niewielkie. Tylko z uczonym w piśmie Szymonie Neukmarcie, mieszczaninem zamieszkującym w jednej z izb w Wielkim Domu, rozmawiała czasami w jego komnacie. Mówili wówczas coś o gnozie, panteizmie i Platonie, jądrze duszy ludzkiej, boskim napiętnowaniu człowieka przydającym mu niezrównaną szlachetność, o rozróżnianiu stworzonego od niestworzonego i powrocie do Boga jako celu duchowej wędrówki. Ksenia przemykała się wtedy ukradkiem i niepostrzeżenie do jego komnaty, często późnym wieczorem i wychodziła pośpiesznie, tuż przed zamknięciem Małej Furty.

III. CZARCIE FIGLE I SWAWOLE

W jednej z placówek filialnych szpitala mieszczących się gdzieś na obrzeżach miasta, czuło się zaledwie posmak piekielnych oparów, jakieś zamyślenia, zająknięcia, przecucia. Nie były one jednakże związane z żadnym przykrym czuciem nieświeżości, lecz wyraźnie jakiś niejasny jeszcze zapasek wydobywał się wprost — z myśli na przeróżne tematy, z rozmów i przemyśleń tych rozmów aż w końcu z podejmowanych decyzji i działań. Konszachty przebiegały na linii — swój do swego, po cichu, na uboczu, potajemnie snuł się ów zapasek piekielny co serce osłabia, duszę drażni i pozostawia trwałe ślady na sumieniu.

Powiewem tym musiało być zarazonych sporo osób w Szpitalu Głównym św. Ducha, bowiem chodzili otumanieni, ale zadowoleni z panującej tam atmosfery, oparów unoszących się wszędzie w niezbyt zagęszczonym jeszcze do tej pory powietrzu.

Dagmara Fedinger zarządzała Wielką Izbą, malutka, choć ładna, do pewnego czasu dosyć zgrabna, ale wiek i obowiązki, które pełniła zarządzając zgrają ubogich pensjonariuszy, zrobiły swoje. Stała się nazbyt obojętna, karciała wciąż i ganiła swoich podopiecznych, aż w końcu została złośliwą sekutnicą.

- Wigboldzie, dlaczego dzisiaj znowu nie byłeś u Komunii Świętej, będziesz potępiony i wyklęty na wieki! — mówiła podniesionym głosem.

- Ależ, Dagi - odparł biedny pensjonariusz, tak bowiem nazywali ją pieśczośliwie mieszkańcy szpitala — gdzie ja mogłem nagrzeszyć, jak nie wychodzę z domu, a właściwie rzadko już wychodzę z łóżka. Chętnie poszedłbym do karczmy albo sukiennic przy ratuszu, jak onegdaj chodziłem, ale już sił i zdrowia brakuje. Czego ci brakuje, to brakuje, ale już na pewno nie frywolności.

Kiedyś jednakże stary Wigbold po wielu kąśliwych uwagach i znęcaniu się nad nim złościami, nie wytrzymał. Udawał iżę śpi, a gdy podeszła blisko jego łóżka, poderwał się nagle i szepnął jej do ucha *-Diabelski pomiot, czarownica* ichwytając w pół biedną Fedinger. Mocno

zaciśniętą na jej kibici swoje silne dłonie, aż zapiszczała ze strachu raczej, niż z bólu. Uścisk był tak silny jakoby w dybach ujęto jej nieco już otyłe ciało, ale starzec nie popuścił. Musieli potem siłą, trzonem miotły co stała w rogu izby, rozwierać jego ściśnięte jak kleszcze dłonie.

Potem Dagi dała już mu spokój i nigdy nie zbliżała się do jego łóżka.

W jednej z komnat służbowych mieszkała też siostra zakonna Apolonia, która swoje niespełnione uczucia macierzyńskie przenosiła na pensjonariuszy, a szczególnie dzieci. Głaskała je nieustannie i przytulała tak mocno, że one, nie mogąc wyrwać się z jej mocnych matczynych objęć, kwiliły i szlochały czasem trochę udawając po cichutku. Rodzice byli bezradni i choć ze strachu nie skarżyli się Szafarzowi, ubolewali po cichu nad tą nadmierną opieką owej niespełnionej do końca w swym życiu siostry. Kiedyś, gdy wyszły z siostrą Bertiną na spacer po Starym Rynku, kulas Bartłomiej i paru żebraków obrzuciło ich takimi obelgami, iż z zawstydzenia i obawy o własne zdrowie, umknęły do kościoła św. Mikołaja, patrona rybaków i żeglarzy, aby ukryć się w wielkich ławach kościelnych. Słyszeli tylko z oddali dobiegające głosy, śmiech gawiedzi i raczej żartobliwe pogróżki.

W karczmie przy ul. Studziennej zwanej „Asmodeusz”, częstoroazprawiali przypiewielub dobrym winie różnego urodzenia i stanu mieszczanie, a wielu z nich miało swoich znajomych i krewnych w szpitalu św. Ducha. Docierały tam wieści nie tylko o sytuacji w kraju i na świecie, ale również z gatunku magicznego i czarciego rodzaju. Symbole strąconych z nieba aniołów wisały na drewnianych belkach tej karczmy, a nawet na suficie, a ogony zwisały luźno nad ławkami.

- Wiesz, Kuncyfale z piekła rodem, czemu nie mogę przebywać w tym szpitalu na ul. św. Ducha? Bo coś tam mi pachnie, przenikaniem niejakiego św. Ducha!

- Chociaż i nasze zapaszki da się już, gdzie niegdzie wyczuć — mówił jeden z biesiadników z podejrzanymi wypustkami na wełnianej czapie okrywającej jego kędzierzawą głowę.

Na Targu Siennym czy Chlebowym zawsze było tłumnie i gwarno, powozy konne i dwukołowe wózki przewoziły towary — mąkę, kaszę, śledzie, mięso wołowe i cielęce, sery, warzywa i owoce, chleb i piwo, a także przedmioty świadczące o zainteresowaniach kulturalnych mieszkańców miasta; jakieś wyroby rzemieślnicze, obrazy i książki. A pojawiający się przynajmniej raz dziennie czterokołowy pojazd obudowany niczym bryczka, który ciągnęły dwa rącze konie, był własnością szpitala św. Ducha. Dostarczał on tam zarówno produkty do jedzenia jak i artykuły pierwszej potrzeby, które były rozdawane ubogim pensjonariuszom albo też sprzedawane prebenderiuszom, według ich potrzeb i zamówień.

Życie w mieście toczyło się swoim rytmem i wielu mieszkańców przytułku, jeśli tylko zdrowie i odpowiednia ilość grzywien i szkocjów im starczały, wybierało się do miasta i uczestniczyło w jego wydarzeniach. Oprócz pracy bowiem, która wypełniała większość dnia mieszkańcom Elbląga, organizowano dla nich szczególnie w dni świąteczne — targi, spotkania cechowe i brackie, gdzie zawierano wiele transakcji handlowych, umilanych muzyką, dobrym piwem lub winem, a nierzadko kończyły się one wspólnym śpiewem i zabawą. Najgwarniej zawsze było jednak wokół bud kramarskich, sukiennic i ław rzeźnickich koło ratusza. Dom kupiecki przy Starym Rynku był niskim jednopiętrowym budynkiem, na którego parterze znajdowały się ławy sukiennicze, dzierżawione przez miejscowych kupców oraz przechowywano broń. Natomiast na piętrze była duża sala, gdzie odbywały się ważniejsze uroczystości i bale, zdobiona bogato wyrobami przywiezionymi przez kupców z zamorskich krajów — Flandrii, Bretanii, Barbancji, Hiszpanii czy z Rzymu lub innych części świata, gdzie wyruszały wyprawy pielgrzymkowe do sanktuariów. Ówcześni panowie ziemi pruskiej Krzyżacy, zawsze życzliwie traktowali i pochwalali takie pielgrzymki.

Pewnego dnia dwaj prebendariusze ze szpitala św. Ducha, były cieśla Marcin Reuterger i kowal Piotr Sommer umówili się na spacer po Starym Mieście z Lubeczanką Hildą, wdową po mieszczaninie Bartłomieju Volmeinstenie, który podczas konfliktu zakonu z Rygą zginął na jednej z wypraw wojennych. Mieszczanie często brali udział w wyprawach zbrojnych nie tylko dla chwały, ale zwykle dla korzyści jakie ze sobą one niosły; godności szlacheckiej, miejsca na urządzie albo zwykłych łupów wojennych. Piotr poznał Hildę podczas jednej ze swoich podróży kupieckich do Lubeki, gdzie handlował suknom i wieloma innymi wyrobami rzemieślniczymi z Elbląga. Sprzedał jej wyjątkowo tanio piękne niebieskie sukno sprowadzone aż z Brukseli. Spodobali się sobie i podczas coraz częstszych spotkań to w jednym, to w drugim z zaprzyjaźnionych wówczas miast, postanowili się pobrać.

Teraz Hilda żyła samotnie i mieszkała w oddzielnej komnacie w Wielkim Domu, ale lubiła

spacery w towarzystwie, nie stroniąc od tańca i wesołej zabawy. Właśnie spacerowali gwarząc ulicą Starego Rynku, pełną straganów, przekupek i handlarzy. Zbliżyli się powoli do ratusza, gdzie zamierzali wstąpić do winiarni mieszczącej się w jego piwnicach. W rozległych jej pomieszczeniach ze sklepieniami krzyżowymi stały duże drewniane ławy, przy których siedziało mnóstwo gawiedzi różnych stanów, ubioru i pochodzenia. Kiedy zasiedli przy jednej z ław w odległej części sali, szynkarka Dobrochna zaśpiewała przy lutni, obchodząc wokół ławy i przyjmując jednocześnie zamówienia:

Gdym to przedtym w Łokluszynie za byłem chadzała
A teraz już w drogich sukniach, jak się wo dostała -
Za cóż bym jo miała kupić trzewiczki weneckie
A do tego pończoszki, chociaż też angielskie
A podwiczkę trzeba kupić, a k temu bogato,
Żeby głowy nie nosiła jak puchacz kosmato,
Widzę, że drugie mają niemieckie kołnierze

Na to jeden z biesiadników, znany z ciętego dowcipu zaintonował, podnosząc się dziarsko z ławy:
Piwa w garcu nie będzie, ledwie połowica,
A ostatek pijanemu dosypie dziewica
A czasem i dwie kresce napisze za jedne,
Mając kreskę dwoistą, jej to rączki biedne.

Rozległy się po tych słowach gromkie śmiechy, przynaglenia o szybkie podawanie zamówionego jadła i napitków. Hilda uśmiechała się tylko szczerze i widać było iż ubawiła się setnie.

Tymczasem nim podano im zamówionego łososia z warzywami oraz miód dwójniak dla panów i reńskie wino oraz cukry dla przebywającej z nimi niewiasty, pojawił się jak zwykle bywało przy takich okazjach miejscowy błazen zwany Henneyem. Ubrany był w kwadratową czerwoną czapkę z uszami oślimi i zwisającym lekko czubem zakończonym dzwonkiem i grzebieniem kogucim. Krótki kubrak ściśnięty był szerokim pasem, a obciste spodnie miały dwukolorowe nogawki — czerwone i żółte. Przy rękawach kubraka w okolicy łokcia zwiślało mu kilka maleńkich dzwoneczków. Grał rolę głupka, który dużo gada i robi nieprzyzwoite miny, przedrzeźniał gości i udawał szalonego. Czasami jednakże potrafił popisać się tak trafnym i celnym dowcipem, że musiało to wielu gości poruszyć i dać do myślenia. Błazen Henney znany był zresztą nie tylko z ciętego i trafnego języka, ale pod płaszczykiem figlów i dowcipów, często przemycił ważne wieści polityczne i swoje do nich upodobania.

- Naszulubiony pan, a jakże sprytny i frywolny w swej chęci zabawy!- rozległ się gromki śmiech na sali, jakby wszyscy obecni wiedzieli o kogo chodzi — O je !, O je!. Co ja godam ? - wycofywał się uniesienie dzwoniąc rzęsiście dzwoneczkami.

- Pobożnym żywocie, ostatnio cosik nam się zbiesił i czarcie kumoterstwo jest mu w swych planach chyba najbliższe. Z tym antychrystem wciąż się kuma i knuje czarcie zamiary. Arcybies Asmodeusz jest mu miły. A kysz! A kysz! Diable nieszczęsny !! - zwrócił się teraz do biednego kowala bogu ducha winnego, aż ten oczy wybałuszył ze strachu i przeżegnał się parę razy. Hilda natomiast pokładała się ze śmiechu, kołysząc to w tę to drugą stronę szeroką kolorową spódnicą i piersiami pod śnieżnobiałym gorsetem.

- Diabeł chce postawić tu swoją katedrę i dyktować swoje prawa — „Hoec est hora vestra, et potestas terebrarum” — Nie będzie nigdy ugody między światłem i ciemnością — grzmiał dalej błazen, udając diabła i zapalając to znów gasząc dużą świecę trzymaną w dłoni. Nagle wpadł sam gospodarz wyszynku z wielkim krzyżem w ręku i pogroził pośpiesznie umykającemu teraz Henneyowi. Zapanował wreszcie pogodny nastrój biesiadny, którego nikt, nawet pijany nieco cieśla Marcin, nie potrafił już zakłócić. Hilda po pewnym czasie wyszła z winiarni rozbawiona, pod rękę z kowalem Piotrem Sommerem, aby udać się do szpitala św. Ducha, tuż przed zamknięciem drzwi do Wielkiego Domu.

Czarczi humor wywodzi się ze śmiechu, radości życia, pogodnego przeżywania chwili i szczęścia, ale gdy przeradza się w cichy, złośliwy chichot, nabiera posmaku mefistolesowego. Siostra Hala, przełożona wszystkich usługujących w szpitalu sióstr zakonnych, wyglądała zawsze młodo i ładnie. Była bardzo bystra, a nawet można by powiedzieć iż sprytna w swych myślach i zamiarach, które potrafiła w przedziwny, iście czartowski sposób wprowadzać w życie. Kusiła swoją urodą i ogłada, umiała ładnie mówić do pensjonariuszy i ubierała się gustownie, a także potrafiła stosownie zachowywać się co do różnych okoliczności. Miała jednakże coś pod skórą, iż kto przebywał z nią lub obok, mógł dostać gęsiej skórki. Nigdy nie

upominała pensjonariuszy, ale zawsze ganiła podopieczne siostry, że są nieuważne, za mało opiekuńcze i staranne w swoich pracach na rzecz szpitala, a szczególnie ubogich. Wyglądało to tak, jakby owa postawa sprawiała jej swego rodzaju z piekła rodem przyjemność.

- Siostro Kamelio, nasz przytułek to nie zakon, tutaj trzeba się krzątać i posługiwać. W imię pana Boga i syna Jego Jezusa Chrystusa czynić dobre uczynki, aby doznać odkupienia i szczęścia w niebie.

- Tak siostro przełożona - odpowiadała pośpiesznie i potulnie siostra Kamelia, zapinając wciąż w nerwowym odruchu w różnych miejscach swój habit.

- Już śpieszę na salę Wielkiej Izby, gdzie dzisiaj od rana podejrzanie jest cicho i spokojnie.

I właśnie w tym momencie rozległ się tam straszny rumor, podniesione głosy i jakieś okrzyki.

Siostra weszła z impetem do sali i zawołała:

- Co się tu dzieje, mury się walą czyli czeluście piekieł się nagle otwały ?

- On ma jakieś maści i dziwne proszki, a nawet kiedyś powiedział że szuka jakiegoś kamienia, chyba „filozoficznego” — mówił z przejęciem do siostry Kamelii jeden z ubogich, zamieszkujący wspólne pomieszczenie tuż przy oknie wychodzącym na szpitalny cmentarz.

Gabriel Symonsen zaś pokazując podręcznik do sporządzania leków, maści i plastrów, który otrzymał onegdaj od lekarza krzyżackiego Henryka von Palzant, tak odrzekł.

- Miła siostrzyczko Kamelio, każdy chociażby honorowy medicus bądź physicus w infirmeriach, aby opiekować się niedołącznymi i chorymi braćmi musi posiadać specyfiki i je podawać. A ten prostak był piekarz Albert Huxer chciał mi zabrać leki do „chirurgii wojennej”, które potrzebne alisci będą dla opatrywania rannych rycerzy.

-Ten cyrulik mnie zabije, nie mogę spać po nocach, bo truje mnie wciąż swoimi medykamentami.

Przy zachorowaniu na trąd dla wszystkich konwentów potrzebne jest leprozorium, które znajduje się poza Malborkiem nad Nogatem. „Uzdrowiać i pomagać” to nasze credo. *Helidonia* czyli Jaskólcze ziele, od ślepo narodzonych jaskółek się wywodzące, ponoć dotknięciem do wzroku przywodzą. Z *Ros Solis* zwane popularnie Rosiczką, której ziele nie jest większe niż na dwie dłonie, mistrzowie komponują na słońcu. Płód martwy wyprowadza od kaduka, prezerwuje, szatany w opętanych ucisza.

- Zamiast się modlić do Jezusa Chrystusa i przyjmować Komunię Świętą, wciąż jakieś czary czyni - skarżył się piekarz Albert Huxer.

- W swym działaniu — kontynuował dalej cyrulik Symonsen — podobna jest do cnót Boazara, ziela co świeże rany *in spatio* dni 10 ściąga, goi i długoletnim czyni noszącego. Na truciznę przez usta daną jest ratunkiem wielkim. Naczynia same, strute, włożeniem w nie ziela tego ozywają.

- Panie Boże ratuj ! — wił się ze strachu i rozpaczy piekarz.

- Balsam, alisci z arabskiego kręgu sonat *Dominus Olei* jest drzewem zawsze zielonym, na dwa łokcie wysokim, który osadzony został w kairskim ogrodzie i spotkać go można w indyjskich krainach. Jest pomocny na rany, jako przypisał symbolista — *Vulnus opem, Aliis plaga medetur* (cios pomaga, moja rana innych leczy). Węże pod tym drzewem tracą jady, a ktoby nad miarę zażył go, szaleństwo w sobie zgotuje - kontynuował bezlitośnie cyrulik Symonsen.

Jednakże siostra Kamelia nie wytrzymała i kategorycznie zabroniła mu swych dziwnych wypowiedzi, grożąc że poskarży się samemu prowizorowi.

Tymczasem piekarz z duszą na ramieniu wybiegł był prawie z Wielkiego Domu i skierował się w stronę jarmarku, aby w gronie rzemieślników brackich i cechowych, przy piwie i grze w kości lub warcaby, zapomnieć o wywodach cyrulika i jego skłonnościach do szarlatańskich eksperymentów.

Zobacz także te strony:

[Tajemnice szpitalnych podziemi](#)

Przypisy:

[1] Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...

[2] noster et ordinis nostri capitalis domus hospitale - nasz i naszego Zakonu szpital główny

Mieczysław Lenckowski

Pisarz, językoznawca; jest członkiem Bractwa Języka Polskiego; zajmuje się także dziennikarstwem, krytyką literacką i teatralną. [Więcej informacji o autorze](#)

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 04-04-2004 Ostatnia zmiana: 30-07-2004)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3358) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3358>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl